

„Galgan” nie do zapomnienia

Wrocławski Teatr Współczesny na zakończenie sezonu pokazał „Galgana” w reżyserii Eweliny Marciniak.

MAGDA PIEKARSKA

Kameralny spektakl na dwójkę aktorów - Grzegorza Dowgiałę i Marię Kanię - daje nadzieję na lepszą przyszłość przed sceną prowadzoną przez Marka Fiedora. Bo ostatnio ta nadzieja tliła się coraz słabiej - najpierw zobaczyliśmy „Fragment nieistniejącego świata” Jacka Bąły. Ze znakomitym Bogusławem Kiercem i o kilka klas słabszym Tomaszem Cymermanem w dość schematycznej i do bólu przewidywalnej opowieści o spotkaniu aroganckiej młodości z dojrzałą starością z hospicjum w tle.

Do czterech razy sztuka

Potem była próba dekonstrukcji „Ta-jemniczego ogrodu” Katarzyny Szyn-giery. A raczej zbiór wolnych wariacji wokół kilku wątków z oryginalnego tekstu, w których cztery sceniczne postaci miały się, próbując wykrzesać z tego podejścia do powieści Burnett cokolwiek, co usprawiedliwiłoby tytułowe nawiązanie do oryginału. Z tej

krótkiej przygody zapamiętałam nie-pokojącą scenografię Agaty Baumgart. I Marię Kanię w roli Mary - prawdziwie wściekłą rewolucjonistkę w wiecznej opozycji wobec świata. Za nic nie mogłam zrozumieć, dlaczego podjęto decyzję o graniu tego spektaklu, którego potencjał sceniczny wyraźnie wskazywał na bardziej kameralną przestrzeń niż największa scena Współczesnego.

Trzecie przedstawienie - „Paterno-ster” - to drugie podejście Marka Fiedora do tekstu Helmuta Kajzara. Pierwsze, zrealizowane 16 lat temu w Toruniu, było ponoć sukcesem. Nie udało się go u nas powtórzyć, mimo scenograficznej, kompozycyjnej precyzji, a także znakomitej zespołowej pracy aktorów. Albo tekst Kajzara się zestarzał, albo Fiedor nie umiał znaleźć do niego nowego klucza. Potwierdza ją się diagnozy, które przed laty, po premierze tego debiutanckiego tekstu Kajzara, w reżyserii Jerzego Jarockiego, postawił mu Józef Kelera - trochę tu Gombrowicza, trochę Różewicza, ale za mało precyzji, której podążanie w obu tych kierunkach wymaga. Z za-pętlzeniami, nawrotami akcji spektakl Fiedora przypomina sen. Sęk w tym, że jest to sen męczący i monotony, z którego chcielibyśmy się jak najprędzej obudzić. Tropy, które podsuwa tekst Kajzara, są zgrane do szczytu. Czekamy na coś, co złamie tę rutynę, a nic takiego przez dwie godziny się nie wydarza.

I wreszcie „Galgan”, wystawiony tuż przed końcem sezonu, na naj-

mniej scenie Współczesnego, z widownią podzieloną na pół, między którą pojawia się basen wypełniony wodą, pomidorami, porzrzuconymi zabawkami. Na scenie ona (Maria Kania) w tiulowej spódnicy i on (Grzegorz Dowgiałło, także autor muzyki) w garniturze, ciemnych okularach à la Cybulski, pochylony nad syntezatorem. Opowiadają swoją historię, historię rodzeństwa, połączonego relacją przyciągania - odpychania, miłości - nienawiści, niechcianej bliskości. A właściwie opowiada ona, nie-

Skoro organizuje się tyle kursów szybkiego zapamiętywania, to dlaczego nikt nie uczy nas, jak szybko i skutecznie zapominać?

mal nie dopuszczając brata do głosu, pozwalając mu dopełniać swoją wszechwładną narrację piosenkami. Jest tu matka, ofiara krwawego mordy (sprawcą ma być brat). Ojca właściwie nie ma - gdzieś w otchłani dzieciństwa wyruszył na wojnę, chyba z Ruskimi, no, może z Niemcami, i przepadł, żeby odnaleźć się po latach. Ale to groteskowo-kryminalne story to tylko jedna ze ślepych uliczek, którymi prowadzi nas Ewelina

Marciniak. Tak samo jest z psychodramą z elementami horroru, która rozgrywa się między bratem a siostrą. Tekst Jarosława Murawskiego jest tak zbudowany, że kiedy już widz umości się w jakiejś konwencji, on natychmiast ją burzy, wyrывая z pracowicie budowanego kontekstu i wrzucając w nowy. Tutaj nic nie jest takie, jakim się wydaje.

Maria Kania superstar!

„Galgan” to kolejny spektakl - tym razem spełniony - który dowodzi potencjału, jaki tkwi w zespole Współczesnego. W dużej mierze opiera się on na aktorkach - czekam z niecierpliwością na moment, kiedy podobną szansę dostaną Zina Kerste i Marta Malikowska. Tym razem jednak sceną rządzi niepodzielnie Maria Kania.

Jej energia wypełnia całą przestrzeń, sprawiając, że vibracje dosięgają ostatnich rzędów widowni. Siostra Kani jest rozkapryszoną dziewczynką, jest zbłązowaną nastolatką, co to lubi sobie pogwiazdorzyć nawet przed jednoosobową widownią albo - z braku laku - przed lustrem. Przybiera pozy, kokietuje widownię, prowokuje, bierze nas za zakładników swoich cierpień i świetnie się tym bawi. Jej kreacja wciąż balansuje na granicy przerysowania, groteski. Ewelina Marciniak z Marią Kanią budują w tej roli hitchcockowskie napięcie - kiedy już wydaje się, że aktorka zagra się do granic w tym podkreślonym na najwyższe obroty maratonie, jakby mimowolnie,

w przeblaskach odsłania to, czym jest podszyta jej postać - rozpacz płynąca z samotności, bezbronność wobec wspomnień.

Kurs szybkiego zapominania

Bo w tej historii może i nie było krwawego zabójstwa matki. Ani ojca, który z dużym prawdopodobieństwem nigdy nie wrócił do domu. Mogło też nie być Galgana, który przez swoją odmienną (niewidomego bohatera gra ociemniały aktor) jest jednak bohaterce potrzebny w oczyszczającej spowiedzi - może obarczyć go winą za wszystkie traumy dzieciństwa. Wywołany raz, staje się pułapką - nie zniknie tak łatwo, zawiadnie nią bez reszty, stanie się jej pamięcią, przed którą nie będzie potrafiła uciec.

W pewnym momencie bohaterka pyta, dlaczego - skoro organizuje się tyle kursów szybkiego zapamiętywania, nikt nie uczy nas, jak szybko i skutecznie zapominać? Cała ta opowieść do tego właśnie się sprowadza - do próby odpowiedzi na pytanie, co dzieje się z naszą pamięcią, czy można ją oszukać, gdzie znajdują się te szufladki, w których upychamy to, o czym chcielibyśmy zapomnieć. I do konstatacji, że wszyscy jesteśmy autorami własnej narracji, w której prawda miesza się z fikcją niemalże na równych prawach. Do pewnego stopnia - jedynie, co możemy zrobić, żeby uciec przed wspomnieniami, to manipulować nimi, z prawdy czynić pozór fikcji i na odwrót. Skasować, zapomnieć, wyrzucić z pamięci się ich nie da. ●